

Stefania Czyrek  
naucz. Techn. Rach. Rolnej  
w Wysokiej, pow. Łańcut

Moje wspomnienia z tajnego nauczania  
na terenie gromady Rogóżno, powiat Łańcut

I. Moja decyzja.

Nigdy nie lubiłam ani pisać, ani mówić o sobie i swej pracy. Obecnie jednak zdecydowałam się na ten krok, ponieważ pisząc o tajnym nauczaniu podczas okupacji hitlerowskiej w pow. łańcuckim, mogę dać świadectwo prawdy o działalności kobiet Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego na terenie wsi Rogóżno, to jest mej rodzinnej wsi.

Byłam i jestem skromną nauczycielką. Tajne nauczanie rozpoczęłam na Nowy Rok, tj. 1 stycznia 1940 r. w domu mej matki Zofii Czyrkowej w Rogóźnie. Dziwne to może się wydać, że uczyniłam to na własną rękę, bez niczyjej namowy i bez porozumienia się z kimkolwiek.

Dziwne to jest może obecnie w wolnej Ojczyźnie, ale w owym czasie uważałam to za mój obywatelski obowiązek i nakaz chwili. Byłam już przecież nauczycielką przez lat jedenaście. Wychowana w organizacji Związku Nauczycielstwa Polskiego na terenie radykalnego zagłębia naftowego, oraz zżyta ze Związkiem Młodzieży Wiejskiej "Wici" dzięki bratu Tadeuszowi i siostrze Janinie i Wandzie, a przez szwagra Foktę Władysława wciągnięta w krąg "Gackiej Górki", wiedziałam już wiosną 1939 roku z tajnych informacji o losie Czechosłowaków będących pod aneksją hitlerowskich Niemiec. Wiedziałam wówczas, że na wypadek wojny grozi polskiemu narodowi i jego kulturze całkowita zagłada.

Jesienią 1939 roku gdy widziałam zajęte szkoły przez wojska niemieckie, gdy czytałam rozkazy okupanta o oddawaniu pod groźbą kary śmierci radioodbiorników oraz książek z prywatnych i publicznych bibliotek, gdy widziałam, jak ludzie zakopywali zabezpieczone przed wilgocią polskie powieści i wszystkie dzieła naukowe, gdy widziałam wążsające się bez celu dzieci w miesiącach tragicznej jesieni, to dławiałam łzy bólu z powodu klęski narodowej



i własnej bezsilności. Miary dopełniały coraz to straszliwsze wiadomości przywożone z różnych stron Kraju, jak np. aresztowanie wybitnych poskich uczonych i profesorów uniwersytetów w Krakowie, Poznaniu i Warszawie, później zaś nauczycieli szkół średnich i podstawowych, wreszcie wybitniejszych nauczycielek.

Wobec takiej sytuacji zameldowałam się w gminie Kosina jako kobieta bez wykształcenia, a w "Kennkarcie" napisano mi "Hauswirtin". Nie zgłosiłam się do żadnej pracy, ponieważ w domu rodzinnym miałam zapewnione mieszkanie i wyżywienie. Pomagając matce i siostrze w pracach na polu i w gospodarstwie domowym, mogłam bez krępowania iść dwa lub trzy razy w tygodniu do Gaci. Tu przebywałam w domu Janiny i Władysława Foktów, gdzie spotykałam niektórych wybitniejszych działaczy Ruchu Ludowego tutejszego rejonu oraz Ignacego i Zofię Solarzów. Tutaj poznałam ukrywającego się Wojciecha Jantczaka, znanego działacza wiciowego na terenie województwa łódzkiego. Przyniósł on wiadomość, że Łódź i Warszawa organizują podziemną walkę z okupantem hitlerowskim. Rozpoczęły się wówczas gorączkowe dyskusje. Przysłuchując się im, drżałam z wewnętrznej radości, ponieważ widziałam, że ludzie ci nie poddają się rezygnacji, ale planują, a później decydują się na podziemną zbrojną walkę z okupantem.

Na moją decyzję podjęcia tajnego nauczania miały wpływ również rozmowy z Chrzesnym - Ignacem Solarzem, który późną jesienią 1939 roku pracując w Okręgu Spółdzielni Spożywców "Społem" w Rzeszowie, wracał raz lub dwa razy w tygodniu do Gaci do żony i dzieci. Z Rzeszowa jechał pociągiem do Rogóżna, stąd zaś pieszo szedł sześć kilometrów do Gaci. W drodze od pociągu zawsze zatrzymywał się w domu mej matki, dowiadując się ode mnie, co się dzieje w jego domu i w ogóle całej okolicy. Informowałam go przy tym o możliwości przejścia przez strzeżoną przez wojsko główną szosę. Podczas tego odpoczynku Chrzesny informował nas o tym, co się dzieje na szerokim świecie. Rozmowy te sprawiały, że niewola stawała się nam lżejszą. Po odpoczynku Chrzesny szedł do Gaci w towarzystwie nieodstępnego M Antka Pacuły z Gaci. Nieraz w mroczny wieczór, gdy na szosie był gorączkowy ruch Niemców, wówczas przeprowadzał Chrzesnego mój szwagier Józef Krotysz, lub ja sama.



Później, kiedy z końcem grudnia 1939 roku gestapo aresztowało Chrzesnego, zdecydowałam się wówczas na podjęcie tajnego nauczania w zakresie szkoły podstawowej. Uważałam bowiem, że Niemcy wyniszczą najpierw wybitniejszych, a później zabiorą się do przeciętnych Polaków. Wobec tego należy uczyć dzieci, aby ratować naród przed ciemnotą, a kto zostanie przy życiu, niech posiada jak najwięcej wiedzy i patriotyzmu. Byłam przekonana, że dzieci dłużej od nas dorosłych pozostaną przy życiu, dlatego należy przekazać im chęć walki o polską mowę i kulturę.

W taki oto swoisty sposób pojmowałam mój udział w walce z hitlerowskim okupantem w okresie drugiej wojny światowej. Chociaż nie byłam słuchaczem Uniwersytetu Ludowego im. Orkana w Gaci, chociaż nie należałam do Związku Młodzieży Wiejskiej " Wici " , ale będąc pod ich wpływem, podjęłam decyzję walki na odcinku nauczania. Była to decyzja niby samotna, ale właściwie powstała pod wpływem organizowanej walki zbrojnej przez Ruch Ludowy powiatu łańcuckiego i przeworskiego.

## II. Miejsce nauki.

W roku 1967 zapytała się mnie pewna młoda osoba, dlaczego uczyłam tak mało dzieci, bo tylko siedem, że we wsi na pewno było ich więcej.

Uśmiechnęłam się i wyjaśniłam nieoczytanej osobce, że systematyczne nauczanie nawet jednego dziecka było sprawą niezwykle niebezpieczną, bo grożącą śmiercią dla uczącego się i nauczyciela. Sprawę komplikował brak podręczników i obawa przed zdradą. Nie można więc było uczyć dzieci rodziców, o których mało się wiedziało lub nie wypróbowanych w niebezpiecznych sytuacjach. Stałe zakwaterowanie niemieckich żołnierzy we wsiach położonych przy głównej szosie Kraków - Lwów i takiej samej linii kolejowej podwajało niebezpieczeństwo.

Rogóżno jest wsią położoną między torem kolejowym a szosą, tj. głównymi magistralami łączącymi zachodnią ze wschodnią Europą w południowej Polsce. Tędy przelewały się dywizje walczących Niemców z Polską, a później Związkiem Radzieckim, ale też tędy następowała ucieczka armii hitlerowskiej po klęsce doznanej z rąk Armii Czerwonej.



Tor kolejowy oraz szosa były silnie strzeżone przez armię niemiecką od pierwszego momentu wkroczenia Niemców, aż do ostatniej chwili. W Rogóźnie stale kwaterowali Niemcy i zajmowali wszystkie domy w tej małej wiosce. Przejść przez szosę lub tor kolejowy blisko wsi i nie być zauważonym przez wartowników, było wielkim szczęściem. W nocy, od zachodu do wschodu słońca, patrolowały samoloty, które rzucały z wielkiej wysokości oślepiające jasne rakiety co piętnaście minut tak, że uciekający człowiek nie dawał cienia i był z daleka widoczny. Równinne pola, bez wawozów, umożliwiały doskonałą obserwację znajdujących się tam ludzi. Przez całą wojnę dowódcy wojskowi przestrzegali godziny policyjnej trwającej od godziny 18 wieczorem do szóstej rano. Dowódca niemieckiego batalionu odpowiadał za spokój na terenie wsi.

Znaleźć na naukę dom wolny od Niemców, znaleźć ludzi, którzy by milczeli jak grób, oraz uniknąć ciekawych ludzkich oczu i domysłów, było sprawą bardzo trudną.

Z uwagi na spotkania Chrzęsnego, a od roku 1940 innych osób z jego kręgu w moim domu rodzinnym robiłam wszystko, aby nasz dom nie gościł żołnierzy niemieckich. Udawało się mi to doskonale, ponieważ gdy jeden batalion pakował się, a z nowego przybywaki kwatermistrze, kładłam się wówczas do łóżka z zawiniętą głową w ręcznik, lub pakowałam tam matkę i wołałam po niemiecku bardzo głośno, że jest wysoka temperatura, że nie wiem, co to jest może tyfus, dlatego z życzliwości proszę, aby się nie przybliżali do chorej. Oczywiście skutek był piorunujący. Nagle zatrzaskiwały się drzwi, a nad wejściem domu znalazł się ostrzegawczy znak, Udawało się mi zawsze zabezpieczyć w taki sposób dom przed niepożądanymi gośćmi. Mogłam więc spokojnie uczyć swoich siostrzeńców bez zwracania uwagi obcych ludzi.

Trudności jednak wyniknęły wówczas, gdy na moje życzenie zostali wciągnięci do nauki koledzy moich krewnych, jak np. Jan Lasek, Tadeusz Kiełb, Helena i Zofia Skyszówne oraz Maria Czarnecka.

Odważyłam się wówczas na naukę raz w tygodniu w domu rodzinnym, dwa razy u mojej siostry Weroniki Michno, dwa razy u Marceli Lasek i raz w tygodniu u Marii Czarneckiej.

Dlaczego wybrałam te miejsca?

Przede wszystkim były to mieszkania moich uczniów, po drugie zaś wiedziałam o dyskrecji tych ludzi oraz znałam ich przytomność umysłu. Wszystkie te nowe miejsca odznaczały się niezwykłym ruchem wokół siebie.



Dom Weroniki i Romana Michnów znajduje się w środku wsi przy samej głównej drodze. Jeden pokój przeznaczony był na sklepik wiejski, do którego o różnych porach dnia przychodzili interesanci. Wejście do takiego mieszkania nie budziło niczych podejrzeń. W dodatku drugi pokój zawsze był zajęty na kwaterę wojskowego dowódcy niemieckiego batalionu. Oficerowie ci urzędowali w Domu Ludowym, znajdującym się naprzeciwko Michnów. Jedno było tylko wejście do domu Michnów i jedna jedyna ścieżka prowadziła do sklepu, do kwatery wojskowej i do kuchni gospodarzy. W kuchni znajdowały się drzwi do pokoju sąsiadującego przez ścianę z Niemcami. W tym właśnie pokoju uczyłam przez wszystkie lata wojny bez zwracania czyjejkolwiek na nas uwagi.

Trzecie miejsce mojej nauki, to dom Marceli Łasek. Znajduje się on tak blisko drogi wiodącej przez wieś, że ściany są stale obryzgane błotem jadących wozów, czy kopyt końskich. Tutaj łatwo można było się wsunąć bez zwracania uwagi obcych osób, ponieważ wejściowe drzwi znajdują się od strony ogrodu, dlatego trudno było zaobserwować sąsiadom, czy ktoś idzie do mieszkania, czy do studni Łaskowej po wodę, po którą chodzili ludzie aż z dziesięciu domów.

Najrzadziej, bo tylko wówczas, gdy nie było śniegu, ani deszczu, miałam lekcje w tzw. "budce kolejowej" odległej od stacji Rogóżno jeden kilometr na wschód. Mieszkanie Marii Czarneckiej znajdowało się tuż przy rampie przy drodze wiodącej z Rogóżna i Nowosielec na północ od Bud Łańcuckich i Świętoniowy oraz do promu na Wisłoku, a stąd do lasu. Ruch kołowy koło tego domku był duży, co umożliwiało swobodne zgrupowanie się raz w tygodniu, o ile sucha i bezśnieżna pogoda zapewniała przejście bez pozostawienia głębszych śladów ludzkich stóp.

Niech nikt nie myśli, że przez cały okres okupacji lekcje mogły odbywać się codziennie o jednej godzinie! Były bowiem takie dni, tygodnie a nawet miesiące, że nie było ani jednej lekcji w grupie, tylko prowadziłam je w obecności dwóch, trzech uczniów na "przechadźce" lub w polu przy plewieniu buraków lub kopaniu ziemniaków. Działo się to np. w maju i czerwcu 1941 roku, kiedy Hitler zgromadził na pogranicze ze Związkiem Radzieckim olbrzymią armię składającą się z samych "Hitlerpartiejugend", lub gdy gestapo ustawicznie węszyło po wsi za czymś. Nie lepiej było w lipcu 1944 roku, kiedy przybliżał się front,



kiedy ziemia dudniła od dalekich wybuchów na wschodzie, kiedy bez przerwy widać było błyskawice na wschodnim nieboskłonie pochodzące od bomb i pocisków artyleryjskich, kiedy we wsi ustawicznie zmieniali się żołnierze i dowódcy. W miarę przybliżania się frontu przewalało się wojsko składające się z coraz młodszych mężczyzn, a dowódcy ich stawali się coraz ostrzejsi, wprost wściekli. W takiej sytuacji zawiesiłam zajęcia lekcyjne od dziesiątego lipca 1944 aż do odwołania.

### III. Moi uczniowie.

Moimi uczniami, z którymi przerobiłam program szkoły powszechnej byli: 1/ Czarnecka Maria - klasę drugą, trzecią, czwartą i piątą;

2/ Kiełb Tadeusz - klasę piątą i szóstą;

3/ Lasek Jan - klasę piątą i szóstą;

4/ Michno Czesław - klasę piątą, szóstą i siódmą;

5/ Michno Mieczysław - klasę piątą i szóstą;

6/ Słysz Helena - klasę piątą, szóstą i siódmą ;

7/ Słysz Zofia - klasę piątą, szóstą i siódmą.

Ta nauka została po wojnie objęta jako tzw. "indywidualne nauczanie". Spośród tych uczniów utworzyłam komplet pierwszej klasy gimnazjalnej. Weszli do tej grupy następujący chłopcy: 1. Kiełb Tadeusz, 2. Lasek Jan, 3. Markowicz Adolf /nieco później dołączył się /, 4. Michno Czesław, 5. Michno Mieczysław, 6. Puchała Stanisław /później się dołączył/. Z grupą tą przerobiłam program w zakresie pierwszej i drugiej klasy gimnazjalnej. Wszyscy ci uczniowie po Wyzwoleniu ukończyli pełną średnią szkołę, złożyli egzamin dojrzałości jako normalni uczniowie liceum ogólnokształcącego w nr. 1 w Łańcu- cie. Dwóch z nich później ukończyło wyższe studia /Jan Lasek i Mieczysław Michno/ i są wybitnymi inżynierami - pierwszy budownictwa okrętowego, drugi zaś budownictwa wodnego.

Helena i Zofia Słyszówny ukończyły liceum ekonomiczne w Bydgoszczy, a później Wyższą Szkołę Ekonomiczną w Szczecinie i pracują w księgowości. Pozostali uczniowie, jak np. Czesław Michno zajmuje poważne stanowisko w Okręgu PSS "Społem" w Rzeszowie, pozostali uplasowali się w Prezydiach Rad Narodowych.



#### IV. Pomoc i kontrola w nauczaniu.

Pierwszym człowiekiem, który udzielił mi pomocy w postaci programu szkoły podstawowej, był Piotr Świetlik, który dowiedział się od Fołty Władysława, że potrzebuje tej książki. Przyniósł mi tę "pomoc naukową" w roku 1941 w pewną wietrzną zimową noc. Nie obawialiśmy się siebie wzajemnie, ponieważ bywał on częstym gościem w moim rodzinnym domu jeszcze od roku 1932. Wiedziałam o nim, że jest poszukiwany przez gestapo na terenie całego Generalnego Gubernatorstwa i jest niezwykle odważnym żołnierzem partyzanckim. Zatrzymał się wówczas krótko i tak, jak niespodziewanie przyszedł tak niespodziewanie po kwadransie rozmowy odszedł w nieznane. Po miesiącu zgłosiła się po ten program jakaś młoda dziewczyna, o której mi Świetlik powiedział, że przyjdzie z umówionym hasłem.

Po raz drugi przyszedł mi Piotr Świetlik z pomocą po północy dnia 8 grudnia 1941 roku lub 2 lutego w roku 1942. Wiem, że to było w kilka dni po dywersyjnej akcji w Nienadowej, w której on brał czynny udział. Był wówczas wielki mróz / -24 stopnie/ i w dzień przedtem spadł gruby śnieg. Prosił wówczas Świetlik, aby powiadomić w Gaci osoby, które były z nim kiedykolwiek w łączności, aby na kilka dni usunęli się z terenu wsi, ponieważ gestapo doszło z psami z Nienadowej do skrzyżowania dróg w Sieteszy i może wpaść na dalszy trop, a wówczas poaresztuje wszystkich, którzy mieli kiedykolwiek łączność "z nami". Zrozumiałam, że Piotr Świetlik brał udział w dywersyjnym akcie w Nienadowej, ale za nim stoją jeszcze jacyś ludzie, których nie znam. Prosił, żeby pojechać natychmiast wierzchem konia do Fołty Władysława z ostrzeżeniem, a on będzie wiedział, kogo uprzedzić. Pojechał więc mój szwagier Józef Krotysz przez pola do Gaci, a siostra moja Wanda zatrzymała gościa w domu. Bardzo nam było przykro, że nie mogliśmy położyć przybyłego na łóżku, ani zapalić pod kuchnią na herbatę, bo nakazał nam zupełną ciszę, aby nie zwrócić uwagi na swoje przybycie pewnej paskarki nocującej u nas. Przedrzymał się więc Piotr Świetlik w kuchni i jak ten tropiony zwierz ciągle we śnie się podrywał. Widziały to moja matka i siostra, które już do rana czuwały nad bezpieczeństwem całego domu. Ja natomiast położyłam się do łóżka, aby mnie widziała paskarka, a której ruchy po mieszkanku miałam hamować.

Piotr Świetlik narzekał wówczas, że strasznie zmarzł, ponieważ był bez ciepłej bielizny pod spodem, a licha kurtka i spodnie z cienkiego "szewiotu" nie zabezpieczały przed wiatrem i mrozem. Wyszedł tak lichy ubrany, ponieważ po akcji w Nienadowej



znajdował się w pewnym schronie u znanych mu ludzi. Gospodyni wypra-  
ła mu bieliznę, bo do obowiązków członków tajnego podziemia należało  
dać ukrywającym się ciepłe łóżko, ciepłą wodę do mycia oraz czystą  
i wygotowaną bieliznę letnią i zimową, czyste skarpety i <sup>n</sup>ośnie,  
kaloryczne pożywienie oraz zabezpieczyć suche obuwie na drogę.  
Opowiadał mej matce, że był prawie wykąpany i zasypiał w łóżku, gdy  
nagle został rozbudzony przez tajną straż zawiadamiającą, że grozi  
mu niebezpieczeństwo, bo gestapo z Jarosławia idzie z psami po  
śladach z Nienadowej. Zerwał się więc z łóżka, ubrał w pośpiechu,  
a gospodyni nie dała mu podwłóczek, bo nie mogła. Tak lekko ubrany  
brnął po grubym śniegu, klucząc polami. Martwił się tylko, że  
zgubił pod Białobokami ręcznik, który znaleziony przez gestapo  
może naprowadzić na ślady uciekającego.

Wojna trwała już trzy lata. Ludzie na wsi nie byli zaopatrze-  
ni przed wojną w większą ilość bielizny, czy ubrania. Nie mogliśmy  
dać niczego cieplejszego gościowi. Było więc nam bardzo przykro, że  
nie mogliśmy dać Świetlikowi Piotrowi ciepłych podwłóczek, ani  
czapki.

Rano, gdy iskrzące słońce wstało, po lichym śniadaniu /chleb  
ze skwarkami i czarna kawa słodzona buraczanym malasem/, przepro-  
wadziłam Piotra Świetlika przez moją rodzinną wieś, przez tor kolejowy  
przez pastwisko gromadzkie aż do promu w Korniaktowie. Przed rozsta-  
niem prosił, abym do domu wracała inną drogą i nie oglądała się za  
nim, aby nie zwracać niczyjej uwagi na siebie.

Nigdy nie zapomnę tego bolesnego wzruszenia, kiedy patrzy-  
łam się na tego żołnierza wolności, gdy formalnie trząsał się  
z zimna, bo wiatr lodowaty przewiewał mu spodnie, kurtkę i kaszkiety  
nasunięty jak najdalej na uszy, a we wsi widziałam sytych, ciepło  
ubranych żołnierzy niemieckich.

W tę niebezpieczną noc przyniósł mi Piotr Świetlik strzępy  
podręcznika do pierwszej klasy gimnazjalnej z języka polskiego.

Drugą osobą, która pomogła mi w realizacji programu był  
mgr Jan Marszał z Białobrzeg. Znałam się z nim prawie od lat  
dziecińczych, a podczas wojny wiedziałam, że jest kierownikiem młyna  
w Rogóźnie. Przyszedł do mnie do domu zdaje mi się, że w kwietniu  
1943 roku oświadczając, że dowiedział się o zorganizowaniu przeze  
mnie kompletu średniej szkoły i mam trudności w zdobywaniu podre-  
czników, więc on może mi pomóc. Dowiedziałam się później, że opanowa-  
ny i odważny ten człowiek-żołnierz BCH, był kierownikiem tajnego



nauczania na łańcucki powiat, a książki przywoził aż z Lwowa na niemieckich autach z młyna. Jan Marszał skontaktował mnie z Kazimierzem Paluchem z Rogóżna, o którym zupełnie nie wiedziałam że tajnie naucza. Podzieliliśmy się przedmiotami, otrzymałam potrzebne podręczniki do wszystkich przedmiotów, mogłam więc realizować program bez komplikacji. Kazimierz Paluch uczył łaciny i fi-zyki, ja natomiast języka polskiego, historii, geografii, biologii matematyki, języka niemieckiego.

Nauczanie w średniej szkole było kontrolowane, ponieważ weszłam już w krąg ludzi odpowiedzialnych za to. Inspekcji dokonywali mgr Taklińska Ludmiła oraz mgr Marszał Jan. Egzaminami przeprowadzali natomiast oni obydwójce oraz bliżej nieznani mi nauczyciele przedwojennych szkół średnich. Poznałam tylko dwie osoby, tj. mgr Zofię Szpilową bardzo przyjemnie egzaminującą biologię oraz jej męża mgr Szpilę - historyka. Jeżeli egzamin wypadł niepo-myślnie z jakiegoś przedmiotu, wówczas za dwa tygodnie szko się z danym uczniem gdzieś w wyznaczone miejsce. Tak np. jeden jedyny raz mój uczeń miał poprawkę z historii, więc zawiózł ucznia i mnie ojciec chłopca do Żołyni do mieszkania mgra Szpilów.

#### V. Groźne sytuacje i miłe przeżycia.

Podczas drugiej wojny światowej przeżyłam kilka bardzo niebezpiecznych sytuacji zagrażających normalnemu tokowi tajnego nauczania mojego zespołu.

Pierwszą z nich, to karta do Niemiec na przymusowe roboty, którą otrzymałam z końcem lutego 1940 roku. Podał mnie bowiem na listę zbędnych ludzi na terenie wsi ówczesny sołtys Jan Kiełb. Uczynił to podobno za namową swego pomocnika- "sekretarza" Jana Matysiaka, wysiedlonego piekarza z Poznańskiego. Co przeżyłam wówczas, tego trudno opisać. Sądzikam, że oni obydwaj coś węszą i w wiedzą o mojej podziemnej pracy. Zwolnienie z wyjazdu na przymusowe roboty zawdzięczam dwom łańcuckim lekarzom, to jest Władysławowi Szpunarowi i Janowi Jedlińskiemu, za co im w tym miejscu gorąco dziękuję. Przez miesiąc czasu, zanim uzyskałam zwolnienie z "Arbeitsamtu" dnia 20 marca 1941 roku, ukrywałam się,



ale nie upokorzyłam się przed miejscowymi "dygnitarzami" i nie weszłam w ich wesołe "siesty", ani nie dałam im "kubana". W tym okresie nie miałam ani jednej godziny lekcyjnej z uwagi na moją trudną sytuację życiową.

Innego rodzaju niebezpieczeństwem grożącym już bezpośrednio całemu mojemu zespokowi było pojawienie się w sklepie Michnów gestapowca strasznego Kokota. Przyszedł on do sklepu z psem w tym czasie, kiedy prowadziłam lekcję geografii. Było to jakoś z końcem marca lub na początku kwietnia 1943 roku. Pamiętam, że trawa zaczęła się zielenić a na wierzbach zjawily się paki. Południowe słońce grzało mnie w plecy podczas lekcji, pilnie śledziłam mapy Alp, gdy przez próg pokoju przelazła z trudem Weronika Michnowa popielata z przerażenia, mówiąc drżącymi ustami, że w sklepie jest Kokot z psem. Wyszła jednak i poszła obsługuwać strasznego interesanta.

Nie straciłam umysłu, tylko szybko schowałam część książek do schowka, resztę schowałam przy sobie pod płaszczem i szybko spuściłam chłopców przez okno kuchni do ogrodu, wreszcie sama ostatnia wyszłam tą samą drogą. Chłopcom nie wolno było iść w grupie, ani wchodzić prosto do swoich domów. Mieli się ostrożnie zwiędzić przez sąsiadów, czy nie było po nich gestapowców. Przypuszczałam, że może wpadło na nas jakieś oskarżenie. Sama do domu też iść nie mogłam, dopóki nie zasięgnę języka, dlatego lawirowałam po cudzych ogrodach oglądając paki drzew, a równocześnie obserwując chłoców, czy nie są indagowani przez kogoś.

Doprawdy nie wiedziałam wtedy, gdzie iść, aby zasięgnąć języka, czy nie było po mnie w domu gestapo. Ostatecznie wybrałam się do dworskiego czworaku, w którym jedno mieszkanie zajmował wysiedlony urzędnik kolejowy spod Lwowa - Walenty Kiełb wywodzący się z Rogóżna. Pani domu kopala jakąś grządkę przed domem. Zapytałam się o jej córkę Irenę i poprosiłam po cichu do mieszkania. Tu powiedziałam jej, że byłam w sklepie i zauważyłam Kokota z psem. Jakoś się zaniepokoiłam i "nawiałam". Nie wiem tylko, czy nie było Kokota u mnie w domu, więc proszę, aby córka szła na zwiady do moich sąsiadów, a ja zaczekam tutaj na odpowiedź.

Kiedy to powiedziałam, pani Kiełbowa zrobiła się taka sama, jak moja siostra przed chwilą. Ręce jej zaczęły się trząść, twarz zbladła, wreszcie kobieta usiadła na taborecie z wrażenia. Domyśliłam się, że spośród rodziny jest ktoś w tajnej organizacji, wobec



tego szybko szybko zmieniałam decyzję i wyszłam na pole, dziękując za życzliwość.

Później dowiedziałam się, że oni wszyscy, tj. rodzice i troje dzieci należeli do AK, a mieszkanie Kiełbów służyło za składnicę broni i bibuły. Myślałam później często nad tym, jak niebezpieczną dla obu stron była tam moja wizyta !

Na szczęście Kokot wstąpił do sklepu po papierosy i pojechał na stację kolejową.

W rok później, bo w Wielki Czwartek 1944 roku, udało się mi uratować Rogóźno przed pacyfikacją. Pomogli mi w tym Weronika i Roman Michnowie oraz Marcin Bester, tzw. "Mały Besterek" znający doskonale język niemiecki jeszcze z czasów austriackiego zaboru. Jak to się stało?

Grupa dywersyjna AK podminowała tor kolejowy na pewnym odcinku poczynawszy od tzw. "kanału" na wschód do tzw. Pandołów na przestrzeni pół kilometra. Właściwie podłożyli paczki z materiałem wybuchowym w radzieckim opakowaniu w pewnej od siebie odległości na torze kolejowym prowadzącym przez samą wieś Rogóźno. Partyzanci popełnili jeszcze tę nieostrożność, że pozostawili na zboczu nasypu drabinkę wziętą spod stajenki Marii Czarneckiej. Nadjeżdżający pociąg od zachodu najechał na pierwszą minę, nastąpił wybuch, wyrwało dziurę w "kanale" a maszynista zatrzymał pociąg. Nastąpiło zatrzymanie ruchu na wschód na jednym torze kolejowym przez kilka godzin. Zjechało gestapo z psami, które obwąchawszy drabinkę, zaprowadziły do stajenki przy budce kolejowej zajmowanej przez Czarneckich. Maria Czarnecka świetnie władająca językiem niemieckim, potrafiła wykreść się, bo gestapo znalazło miny na linii kolejowej również poza jej domem. Gestapo jednak orzekło, że nikt inny nie mógł dopuścić się czynu, tylko miejscowi ludzie, bo tylko oni mogli wiedzieć o drabince znajdującej się na polu pod ścianą stajenki. Spędzili gestapowcy ludzi do naprawienia toru, inni ustawili cztery karabiny maszynowe poza wsią w takich miejscach, z których można było sieć uciekających ze wsi ludzi. Następnie poszli do sołtysa i zażądali zjawienia się zakładników na godzinę siódmą rano. Obstawili wieś i nie wypuszczali już nikogo na pola. Ma być pacyfikacja !

Mój szwagier Józef Krotysz był w tym okresie zakładnikiem wraz



z innymi dziesięcioma sąsiadami. Kiedy przyszedł rano posłaniec gromadzki Jarosz Walenty ze straszną wieścią i powiedział, że tor kolejowy został wysadzony przez bandytów, to w pierwszej chwili się ucieszyłam, że Polska żyje, jednak zaraz przyszła refleksja, że przecież żądają zakładników, że nie wolno nikomu z domu uciekać, więc gestapo myśli o krwawej zemście! Po odejściu posłańca Walentego Jarosza nastąpiły gorączkowe rozmowy z sąsiadami-zakładnikami. Jedni zdeterminowani decydowali się na zgłoszenie się w kancelarii sołtysa, żeby rodzina miała później spokój od gestapo. Inni natomiast radzili ucieczkę z miejsca. Mój szwagier zdecydował się na podejście pod kancelarię tak, aby go widziano, a potem ucieczkę.

Poszłam z nimi, to jest czterema zakładnikami, bo inni skryli się gdzieś. W drodze zdobyłam wieści, że wieś ma być na pewno pacyfikowana, że gestapo wraca do wsi każdego wychodzącego na pola, że są już rozstawione karabiny maszynowe poza wsią, że materiał wybuchowy był w opakowaniu z rosyjskimi napisami.

Kiedy przyszedliśmy przed Dom Ludowy, ujrzałam dwa ciężarowe samochody z odrobiną słomy jak dla świń. Zrozumiałam, że tam znajdują się moi bliscy, a może i ja sama. Pomyślałam o matce, całej rodzinie i moich uczniach i uczułam wielki żal. Wtem przyszła mi nagła myśl, ażeby prosić o ratunek dowódcę wojskowego batalionu stacjonującego w Rogóźnie już dwa miesiące. Wiedziałam, że "Hauptmann" był wnukiem Polaka z Torunia, zamieszkałego w Westfalii, że nazywa się Scislovski Maksymilian, a jego rodzina mieszka w Hamburgu. Wiedziałam, że jego podkomendni, to rozbitkowie różnych pułków gdzieś z okolic Stalingradu, a wszyscy mają już dosyć wojny i Hitlera. Zarówno dowódca, jak i żołnierze żyli się z miejscową ludnością, a niektórzy bez wiedzy przełożonych uprawiali handel, czym się dało.

Wbiegłam więc do sieni Miechnów i szybko opowiedziałam im o wszystkim, o czym dowiedziałam się rano i prosiłam ich o interwencję u "Hauptmanna". Roman Michno pobiegł szybko po Marcina Bestra, sąsiada biegłego władającego językiem niemieckim jeszcze z czasów austriackich i w pośpiechu klarowaliśmy, żeby chłop był przekonany, że aktu dywersyjnego dopuścili się sowieccy partyzanci, o czym świadczą rosyjskie napisy znalezione na innych minach, że ze wsi nikt tego nie zrobił, ponieważ wszyscy mieszkańcy drżą przed wojskiem, które surowo patroluje po wsi, torze kolejowym i szosie od godziny 18 wieczór do szóstej rano, dlatego nikt nie wychyli nawet nosa z domu w godzinach policyjnych. Ludzie boją się wojska i tych przerażających



rakiet rzucanych z samolotów. Powiedzieliśmy Bestrowi Marcinowi, co przygotowuje gestapo dla mieszkańców wsi, dlatego błągamy dowódcę o pomoc i ratunek, bo przecież on jest panem życia i śmierci wszystkim ludności cywilnej wsi Rogóźno.

Bester Marcin i Roman Michno poszli do Domu Ludowego, gdzie znajdował się "Hauptmann". Ja pozostałam na drodze, aby śledzić bieg wydarzeń. Marcin Bester wszystko dokładnie powtórzył dowódcy, co mu kładliśmy w uszy. Słyszałam, jak mówił z wielkim przejęciem i przekonaniem. Michno Roman prosił bardzo gorąco o pomoc jeszcze od siebie. Dowódca wysłuchał wszystkiego spokojnie, powiedział "gut" i przyrzekł wszystko załatwić. Poszedł do mieszkania Michnów, gdzie siedzieli trzej oficerowie gestapo, a za nim w kilka sekund wsunęli się dwaj oficerowie<sup>ie</sup>, którzy znajdowali się w sali i słyszeli rozmowę z Bestrem. Pod drogą jeden z nich wydał cichy rozkaz do podoficera, który pędem pobiegł gdzieś we wieś. Po kilku minutach zaczęło się zbiegać wojsko z automatami i gromadziło się na drodze koło domu Michnów. Pięciu podoficerów weszło do sieni ~~z~~ z bronią automatyczną, uchylił jeden z nich drzwi do kuchni, z której dochodziła coraz głośniejsza rozmowa zamieniająca się we wrzask. Jeden z oficerów gestapo wprost ryczał, a pomagali mu dwaj inni. "Hauptmann" początkowo mówił spokojnie i był opanowany, a wreszcie i on wybuchnął głośną wrzeszcząc, że on gwarantuje swoim życiem, że nikt z tutejszej ludności nie dokonał dywersji, bo żołnierze pełnią ostrą wartę we wsi, co zresztą było zgodne z prawdą. Twierdził, że aktu wysadzenia toru dokonali "russische Banditen". Powiedział jeszcze, że ~~pod Stalingradem~~<sup>em</sup> nie było polskich bandytów, a Niemcy doznali klęski nie od kogo innego, tylko od Rosjan. Zapytał przy tym, czy gestapo uważa, że tam też byli "polnische Banditen"? Dodał, że gestapo jest odważne daleko od frontu wśród bezbronnych starców, niewiast i dzieci, ale spod Stalingradem ich nie było. Niech idą na front, to zobaczą, co to jest wojna!

Straszna to była rozmowa. Oficerowie gestapo trzykrotnie chwyтали rewolwery, mierzyli w "Hauptmanna" i odrzucali je na stół. Wojskowi oficerowie stali spokojnie z automatami, a w sieni robiło się coraz tłoczniej od napierających uzbrojonych żołnierzy. Zarówno gestapowcom, jak "Hauptmannowi" zjawiała się piana w kątach ust podczas okropnej kłótni. Wreszcie gestapowcy skapitulowali



w obawie przed napierającymi żołnierzami, powiedzieli "pardon", odpowiedzieli im tym samym oficerowie i wszyscy na oczach żołnierzy podali sobie ręce. Wszystko uspokoiło się. Żołnierze otrzymali cichy rozkaz pójścia na normalne zajęcia do sali Domu Ludowego. Tor kolejowy został naprawiony, wrócili wszyscy gestapowcy z pól, wozy ciężarowe szybko odjechały bez więźniów, karabiny maszynowe zniesiono z pól, a we wsi zapanowała radość.

Jakie mieli święta wielkanocne ludzie i żołnierze niemieccy w roku 1944 w Rogóźnie, tego pióro nie jest w stanie opisać. Ludzie znieśli dla oficerów i ich gości kilkadziesiąt kur i masę jaj, po domach gościli kwaterujących żołnierzy szynką, kiełbasą, często zakrapianymi samogonem, a nikt się po raz pierwszy nie krył z mięsem przed wojskiem.

Należy tu podkreślić jeszcze raz, że uratowała wieś przed pacyfikacją pewna grupka ludzi, którym podsunęłam odpowiednie działanie oraz polska krew, która odezwała się pod mundurem niemieckiego oficera.

W sprawie takiego uratowania wsi przed pacyfikacją zaświadczyć mogą jeszcze dziś żyjący ludzie, jak np. Józef Krotysz, <sup>M</sup>aternowski Józef i Stanisław Długosz oraz Roman i Weronika Michnowie.

Po tym wydarzeniu ostrożność nakazywała przerwać zajęcia na pewien okres czasu, aby na moją rodzinę i samą siebie nie sprowadzić nieszczęścia, ponieważ mogliśmy być pod obserwacją gestapo.

Na szczęście wszystko zakończyło się dobrze, dlatego doczekałam się szczęśliwego końcowego egzaminu drugiej klasy gimnazjalnej w dniu 29 czerwca 1944 roku. Odbył się on w Białobrzegach w domu organisty Kulpy. Pamiętam ten dzień bardzo wyraźnie. Od rana samego zauważyliśmy bowiem, że wojska niemieckie jadą tylko w jednym kierunku, to jest na zachód. Jechali szosą dwoma, a nawet trzema sznurami całą szerokością drogi. Tak samo było na torze kolejowym. Pociągi jechały dwoma torami i tylko w zachodnią stronę. W drodze do Białobrzegów widziałam nad rogóźnieńskimi polami walkę powietrzną samolotów radzieckich z niemieckimi. Jeden niemiecki ~~x~~ samolot został postrzelony, zapalił się i runął koło Pandołów. Reszta niemieckich myśliwców wycofała się, a za nimi ostrożnie posuwały się od południowego do północnego nieboskłonu eskadry z gwiazdami radzieckimi na skrzydłach. Zwiastowały one nam wolność. Radość nieopisana gnała mnie do Białobrzegów. Gdy przybyliśmy różnymi ścieżkami na miejsce umówione, wówczas wyszedł do nas Jan Marszał i prosił o zatrzymanie



się na korytarzu, ponieważ trwał jeszcze pisemny egzamin dojrzałości z języka polskiego. Opowiedziałam mu o ruchach wojsk niemieckich i walce powietrznej. Był tym tak rozradowany, że wprost nie mógł uwierzyć, w to, co mówiłam. Wywołał dyżurującą mgr Taklińską Ludmiłę i znowu musiałam jej powtórzyć wszystkie wieści. Była wzruszona do łez.

Tego dnia wypadły egzaminy dla mojej grupy ndzwyczaj dobrze. W lipcu 1944 roku miałam tylko cztery spotkania z uczniami, ponieważ front gwałtownie się przybliżał, a wojska niemieckie zmieniały się we wsi co kilka dni. Zajmowały one wszystkie domy na kwatery, nawet stodoły. Żołnierze byli coraz młodszy, a dowódcy coraz ostrzejsi, wprost wściekli. Wreszcie po frontowych walkach przyszły oczekiwane wojska radzieckie z końcem lipca 1944 roku.

Gdy się ustalił front pod Dębicą, wówczas życie zaczęło się normować. Podjęłam więc w drugiej połowie sierpnia lekcje z moim zespołem. Chciałam uczniów dobrze przygotować do nowego roku szkolnego, ponieważ mówiło się o otwarciu gimnazjum i liceum w Łańcucie we wrześniu. Z nauką się nie ukrywałam. Uczyłam w domu Michnów i Laskowej, ponieważ tam było dosyć miejsca. W czasie tej nauki spotkała nas bardzo miła niespodzianka. Mianowicie dnia 9 września 1944 roku ucząc geografii w porze południowej u Michnów, ujrzałam otwierające się drzwi do pokoju i stojących w nich trzech radzieckich oficerów-sąsiadów zza ściany, którzy w towarzystwie dwóch kobiet-"wraczy" z bukietami dali zapukali w otwarte już drzwi pytając się "można"? Zaprośzeni, podeszli do naszego stołu. Rozłożone były na nim też atlasy geograficzne. Pierwszy podszedł pułkownik ze słowami "Nie bojcie się nas!" i wręczył mi kwiaty. Wszyscy inni dali kwiatuszki przerażonym chłopcom-moim uczniom. Rozpoczęła się miła pogaduszka trwająca całą godzinę. Opowiedziałam oficerom o tajnym nauczaniu mojego kompletu za okupacji hitlerowskiej, bo o to prosili. Później codziennie gawędziliśmy w grupie. Pułkownik lubił zadawać chłopcom różne łamigłówki matematyczne oraz umożliwiał ich rozwiązanie.

#### VI. Moje współdziałanie z podziemną akcją Batalionów Chłopskich

Przez cały okres okupacji hitlerowskiej współdziałałam z wybitnymi osobami podziemnej walki zorganizowanej przez Ruch Ludowy na terenie powiatu łańcuckiego i przeworskiego. Akcja moja polegała na tym, że w pewnym okresie czasu udzielałam pewnych informacji o ruchach wojsk niemieckich na szosie Łańcut - Przeworsk



Odbiorcą tych wieści był Piotr Świetlik. Przeprowadzałam przez szosę lub tor kolejowy świeżo przybyłych takich ludzi: Solarza Ignacego, Piotra Świetlika, Kojdra Władysława, Fołtę Władysława i bliżej nieznanym mi dwóch mężczyzn, a których przybycie uprzedził Piotr Świetlik.

Przygotowałam w domu matki za jej zgodą i mej siostry Wandy, schron dla kilku ukrywających się osób, jak np. Fołty Władysława, Fołty Franciszka, Zofii Solarzowej i Piotra Świetlika i innym osobom, o przyjeździe których zawiadomił mnie kuzyn Kostro Stanisław.

Zapewniłam w domu rodzinnym miejsce na dwie ważne konferencje. Pierwsza z nich, to spotkanie pełnego składu redakcji podziemnej gazetki pt. "Wieści". Byli wówczas osobiście mi znani: Jagusztyn Władysław, Fołta Władysław, Kojder Władysław, Zofia Solarzowa, Stanisław Balcer, Piotr Świetlik, Jerzy Świrski i nieznanym mi mężczyzna. Druga zaś to odprawa kobiet LZK. Brały w niej udział znane mi osobiście Zofia Solarzowa, Aurelię Kojdrowa, Zofia Homianka, Maria Sidówna i dziewięć innych nieznanym mi kobiet.

O miejsce dla obu konferencji prosili Zofia Solarzowa i Piotr Świetlik. Dzisiaj w spokoju o tym się mówi, ale przeżyć domownikom taką jedną konferencję było piekłem niepokoju. Czyniłam sobie wyrzuty podczas ich trwania, że goszcząc w Gaci i stykając się tam z wybitnymi działaczami owego czasu, narażam matkę, siostrę Wandę i jej rodzinę na niebezpieczeństwo, przyzwalając na te spotkania i odpoczynki, ale uważałam, że jest to patriotyczny nasz obowiązek w czym zgodni byli moi najbliżsi.

Niewiele mogę napisać o mojej działalności z czasów okupacji hitlerowskiej, ale jeżeli tym przyczynię się do wyjaśnienia pracy kobiet Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w powiecie łańcuckim, to spokojnie mogę sobie powiedzieć, że wypełniłam swój obywatelski obowiązek do końca.

Pierwszym inicjatorem podziemnej walki z okupantem hitlerowskim na terenie powiatów łańcuckiego i przeworskiego, a należącym do aktywnych działaczy Ruchu Ludowego, tj. Chrziesnemu - Ignacemu Solarzowi i Wojciechowi Jantczakowi - zamordowanym przez gestapo - składałam wyrazy hołdu. Tym zaś, którzy pomogli mi w jakikolwiek sposób w tajnym nauczaniu we wsi Rogóźno, powiat Łańcut oraz moim uczniom składałam słowa uznania za ich bohaterską postawę.

Wysoka, 31. sierpnia 1969 r.



Wojciecha Grybek